

PION

CENA 50 GR.
ROK V NR. 47 (216)
WARSZAWA
25 LISTOPADA
1937 ROKU
TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

TREŚĆ

JAN EMIL SKIWSKI — SANDOMIERZ
BOLESŁAW MICIŃSKI — POZGONNE
ANTONI ANDRZEJEWSKI — POEZJA LEŚMIANA
JÓZEF CZECHOWICZ — PLAN AKACJI
ALFRED ŁASZOWSKI — MYŚLENIE CAŁOŚCIAMI

JAROMIR OCHĘDUSZKO

PRZEWYCIĘŻANIE MARKSIZMU

Książka znakomitego socjalisty belgijskiego Henryka de Mana *O psychologii socjalizmu*, przetłumaczona ostatnio na język polski¹, nie jest jego najnowszą pracą. Ukazała się ona jeszcze w r. 1926 po niemiecku, a w roku następnym — po francusku. Nieco później André Philip, profesor uniwersytetu w Lyon, uprzystępiał i niejako spopularyzował ogromne bogactwo myśli *Psychologii socjalizmu* w studium pt. *Henri de Man et la crise doctrinale du socialisme*.

Można i trzeba zatem mieć pretensje do polskich wydawców, że dopiero teraz, po tylu latach dali czytelnikowi tak podziwianą i głośniejszą książkę. Niemniej dystans lat nie umniejsza w niczym rewelacyjności odkryć de Mana, zawartych w powyższej książce. Przeciwnie: można powiedzieć, że rewizjonizm marksizmu de Mana i adaptacja socjalizmu do współczesnej psychologii, a głównie szkoły Maksa Adlera, bardziej dzisiaj niż wówczas uaktualniła jego książkę, pozwalając nam w perspektywie lat ocenić słuszność i celowość rewizji socjalistycznych poglądów, przesłoniętych dotąd grubą powłoką zastępych dogmatów i sztywnością właściwej Marxowi i marksizmowi terminologii.

Rewizjonizm de Mana ma inny charakter, niż krytyka Bernsteina z końca ub. w. i cały prąd rewizjonizmu na przełomie XIX i XX w. Wówczas chodziło o zagadnienie interpretacji i metodologii związanej ściśle z hipotezami filozoficznymi, które są dziś równie stanowczo porzucone, jak powszechnie były uznawane przed stu laty. Myśl de Mana natomiast umie oddzielić trafne ujęcia Marxa od jego fałszywych uzasadnień; dostrzega piętno, jakie na doktrynie socjalizmu wycisnęła epoka: naturalistyczna psychologia i stan ówczesnych stosunków społecznych i gospodarstwa.

Markszizm jest dziećmiem XIX w. Wiek ten, pamiętać trzeba, rozszerzył granice poznania naukowego w tym stopniu, że przekreślił z góry możliwość rozeznania tego, do czego myśl logiczna może być zdolna, od tego, czego myśl ta osiągnąć nie może. Zgodnie z tym rozumowano, że myśl suwerenna, która stworzyła maszyny i światowy obrót gospodarczy, wystarczająca będzie również do zrozumienia rozwoju społecznego i rozwiązania zagadek wszechświata. Dlatego też nauki przyrodnicze gotowały się do zdobycia wiadomości o rzeczach ostatecznych, od czego zresztą odstąpiły na schyłku stulecia, uświadomiwszy sobie skromnie, że mnożenie ilości znanych faktów nie pozwala jeszcze na lepsze zrozumie-

nie sensu życia i rzeczywistej natury sił rządzących człowiekiem. Marx jest zatem w zgodzie z wszystkimi swoimi poprzednikami filozoficznymi, materialistami czy idealistami, gdy pojmując rozwój historyczny jako spełnienie zasady przyczynowości, której logika odpowiada logice ruchów mechanicznych. W przeszłości dopatrywał się działania tej zasady w przyczynowym determinowaniu myśli przez materię, w przyszłości zaś — w teleologicznej determinacji materii przez myśl. Tak więc Marx stanowi doskonałą ilustrację prawidła, według którego twórcy wartości naukowej należy nie tyle do jakiejś warstwy umysłowej, ile raczej do jakiejś epoki historycznej, gdyż w jego teoriach znajdują wyraz nie ruchy ideowe, lecz materializm przyczynowy Darwina i idealizm teologiczny Hegla. Tymczasem sposób myślenia XX w. cechuje ruch zgoła inny. Wiek ów, ochrzczony krótkim ale wymownym mianem wieku psychologii, oparł swoją koncepcję świata na bezpośrednim doświadczeniu rzeczywistego wszechświata — doświadczeniu i woli. Toteż, parafrazując tytuł znanej książki Crocego o Heglu, można powiedzieć, iż tematem rozważań pracy de Mana jest odpowiedź na pytanie: co jest żywe a co jest martwe w marksizmie?

Krytyka marksizmu de Mana — stała i zamienna cecha jego myśli — nie posiada charakteru teoretycznego, opiera się na obserwacji życia i doktrynerskim teorii przeciwstawia realne fakty. W ten sposób autor przeorał niemal cały światopogląd Marxa i marksizmu, nie bacząc na to, że rezultaty jego badań i sformułowane na ich podstawie *credo* odbiega daleko od powszechnie uznawanego sztywnego schematu socjalistycznej doktryny. Ta analiza doprowadziła go do przewyższenia marksizmu przez przewyższenie teorii drogą rewizji jej podniet, a nie poznania. Teoria socjalistyczna, zrodzona wśród zakurzonych tomów na półkach British Museum, w zetknięciu z rzeczywistością stała się martwym dogmatem. Bo — psychologicznie biorąc — socjalizm obejmuje znacznie więcej niż teoria, która na powierzchni zdarzeń widzi tylko walki interesów. Ponad walką klas żyją idee moralne. Poznanie socjologiczne, posługując się metodą przyczynową, może zakreślać dla czynów, którymi wola nasza chce wpływać na przyszłość, jedynie prawdopodobne granice ich skuteczności.

Materializm historyczny w najlepszym wypadku przydać się może człowiekowi czynu, jako teoria warunków i granic, lecz nigdy jako teoria motywów jego czynów. Dlatego królestwo marksizmu — podobnie jak królestwo wszystkich nauk, opartych na poznaniu historycznym i ekonomicznym — jest królestwem konieczności, nie

zaś swobody. Marksizm jest nauką o kapitalizmie, nie zaś o socjalizmie — w tym znaczeniu, że umie ujawnić warunki wytworzone przez środowisko kapitalistyczne i narzucające się każdemu wysiłkowi, zmierzającemu do urzeczywistnienia socjalizmu, lecz nie zdola uzasadnić samej woli socjalistycznej, której doniosłość przekracza ramy kapitalizmu i walki interesów, wywołane przez kapitalizm. Ekonomia polityczna i historia wskazują na to co jest możliwe; natomiast uzasadnienie obowiązku jest rzeczą etyki. Tam jednak, gdzie wszystko jest konieczne albo niemożliwe, a *tertium non datur* — tam nie ma miejsca dla jakiegokolwiek wartościowania etycznego. W świecie absolutnej konieczności kategoria etyczna, wyrażająca się formułą „powinno być”, traci sens i rację bytu.

Markszizm, okazuje się, usuwając na dalszy plan pobudkę etyczną, stał się pełną luk kaznistyką, ucieczką dla ludzi małej wiary, przeszkodą dla najcelniejszych podniet twórczych. Wiara marksizmu w determinowanie woli społecznej przez interes gospodarczy przyczyniła się niemало do wytworzenia przekonania, że walka zawodowa jest wyłącznie walką o nadwartości. Możemy przeto ocenić — konkluduje de Man — wedle jej rzeczywistej wartości całą konstrukcję umysłową, przy której pomocy Marx wywoził „nadbudowę ideologiczną” z „podbudowy gospodarczej”, „myśl społeczną” z „istnienia społecznego” itd. Konstrukcja ta nie została obalona; po prostu — przestała nas interesować. Od doktryny wymaga się przede wszystkim, a by dawała wskazówki postępowania, a pod tym względem marksizm jest zbyt sztywny, jako sposób myślenia, i zbyt wyrozumiały, jako sposób postępowania. Zresztą — samo założenie filozofii marksowskiej jest wadliwe, gdyż nie podobna przekształcić pewnej sumy wiadomości na pobudkę do działania. Znaczenie wpływu warunków psychologicznych na ukształtowanie się postępu historycznego, jego charakter i oblicze, jest obce ideologii marksowskiej. Stąd dla Marxa przesłanką socjalizmu jest nie tylko pauperyzacja ekonomiczna, lecz również pauperyzacja psychiczna; radość pracy według niego ma zastąpić oddanie się idealowi rewolucyjnemu, przejście się obroną spraw proletariatu. Tymczasem — zdaniem de Mana — może to wystarczyć politykom i mernotom socjalistycznym, ale nigdy masom robotniczym. Rzeczywistość ukazuje nam zupełnie coś innego: pobudką do pracy dla robotnika jest kapitalistyczna chęć zysku; im bardziej ruch socjalistyczny zyskuje na sile, tym wyraźniej klasa robotnicza podlega wpływom kultury burżuazyjnej, a zyskując polepszenie materialnego podłoża, przejmuje jej styl życia. Podobnego przy-

kładu dostarcza Rosja Sowiecka. Robotnik walczy o wyższe zarobki w tym celu, aby zbliżyć swoją skalę życia do skali życia burżuazji.

Tak tedy wszystkie pojęcia Marxa: nadwartość, walka klas, dyktatura proletariatu, rewolucja socjalna — nie są pojęciami naukowymi, lecz refleksami natury moralnej i uczuciowej, refleksami, wynikającymi z nadmiernej rozpiętości między potrzebami robotnika a możliwością ich zaspokojenia. Droga socjalizmu, jeżeli idzie o masy — analizuje dalej de Man — prowadzi od nędzy proletariackiej poprzez średnią zamożność małomieszczkańską; rzeczywiste zadanie socjalizmu zaczyna się dopiero powyżej tego poziomu. Przeciętny robotnik dzisiejszy nie jest ani wzniosłym bohaterem, ani wstrętnym parweniusem — jest po prostu człowiekiem, który pragnie więcej szczęścia i w tym celu musi mieć więcej dóbr doczesnych. Istota socjalizmu polega więc na dążeniu do stworzenia społeczeństwa sprawiedliwego, społeczeństwa przekształcającego ideał równościowy chrześcijaństwa na równościowe uczucie socjalistyczne. Przez pracę, przez naukę, przez miłość wyzwolić człowieka z ucisku form społecznych — oto jego zadanie.

Stara burżuazyjna idea wyzwolenia przez pracę zyskuje tutaj nowy sens w walce z warstwą burżuazyjną, która ją zdradziła i która broni kultury posiadania. Socjalizm jest tedy zarazem spadkobiercą i zwycięzcą kultury burżuazyjnej. Jest nie tyle przyszłym celem, ile teraźniejszą rzeczywistością moralną. Ludzie, zapowiadający w odległej przyszłości powszechne szczęście, są głęboko naiwni. Nazbyt łatwo jest kochać dobro, mieszczać się w mglistych wizjach przyszłości. Najwięcej weksli na przyszłość wystawiają najgorzej płatnicy. Socjalizm — to rewolucja moralna, unikająca środków gwałtownych; albowiem „aby zniszczyć kapitalizm, ważniejsze jest móć go zastąpić, niż być w stanie go pobić”.

Stanowisko de Mana, oceniające ideowo-psychologiczne pobudki szerzenia się socjalizmu, jest oryginalne i świeże, chociaż już w socjalizmie Fouriera, Owena i Proudhona można znaleźć uświadomienie tych prawd, które w sposób niejednokrotnie krainowy wygłasza teraz de Man. Warto także wspomnieć, iż specjalne pokrewieństwo zachodzi między tymi poglądami a t. zw. teorią fenomenalizmu socjologicznego, sformułowaną przez Edwarda Abramowskiego u schyłku ub. stulecia. Przekonanie Abramowskiego, iż rodnikiem świata społecznego jest sumienie człowieka, znajduje pełny i wymowny wyraz w psychologicznych wywodach de Mana.

JAROMIR OCHĘDUSZKO

¹) HENRYK DE MAN: *O psychologii socjalizmu*. Towarzystwo Wydawnicze „Rój”. Warszawa 1937. Str. 360.

ANTONI ANDRZEJEWSKI

POEZJA LEŚMIANA

Przed rokiem czytaliśmy *Napój cieniasty*. Czytaliśmy z uczuciem niedosytu, sprzeciwu i nadziei, że kiedyś poeta rozwiąże zawiłe zagadki swych dróg twórczych. Dziś wiemy, że trzeci akt dramatu, który się wtedy przed nami rozegrał — zostanie aktem ostatnim. Dramat poetycki Leśmiana nigdy nie będzie zakończony.

Przed wielu laty zaczął się on — niezrządki u artystów paradoks — od rzeczy piękniejszych i doskonalszych, niż to co przyszło potem. Zbiór *Sad roztajny* jest przeniknięty duchem szkoły, duchem surowych i subtelnych rygorów; jest szkolarski w pięknym sensie tego wyrazu, jeśli szkolarstwo to dawanie świadectwa idei, odnalezionej przez mistrzów naszych, przez naszych przyjaciół, przez nas samych wraz z nimi, — jeśli jest to odkrywanie ziem, które odkryli nasi mistrzowie. Tom dobrych wierszy to nie opowieść o poecie, ale o znanej także innym poetyckości, o jakimś wspólnym dorobku wielu poetów.

Leśmian, uczeń *Chimery* i symbolistów, spełnia w pierwszej swej książce nielaty obowiązek poety: niezachwianie urzędowistnia mit liryczny, który jest *mitem jego sztuki poetyckiej*, a nie jakimś jego własnym, „psychicznym“ mitem. Dla poetów *Chimery* poetyckość znaczyła — przeczuwanie niepochwytności, „rzeczywistość“ zaś poetycka miała być jakimś zdeformowanym tej niepochwytności odbiciem.

Była w tych odształeniach odwrócona, przerafinowana naiwność (jak u zapomnianej dzisiaj Zawistowskiej), było zadziwienie kształtami niezwykle blady, bo pozbawionymi konkretności, które dla tej poezji była tylko trywialna. Przez odzucenie znaczeń konkretnych powstał język poetycki wyszukany a ubogi. Tak wyszukanie ubogie są dawne wiersze Leśmiana, najpiękniejsze jakie w tym poetyckim języku zostały napisane (choć pisała nim grupa poetów nie taka znów mierna, mimo że się ją za mierną ogłasza). Znak takiej poetyckości zakreślony jest nad *Sadem roztajnym*. Leksyka *Sadu* zamknięta jest w szczyplym, pełnym czaru kręgu znaczeń. Nie dostrzega rzeczy, dostrzega tylko „niewypowiedziane“ niekształtności. Piękne i monotonne są te wiersze, piękne, bez blasku i przyciśzone.

Czytamy *Łąkę!* Ubóstwo i monotonia poczyna się wzbogacać. Przynajmniej pozornie. Wikła się ornamentyka leksykalna (sławne leśmianowskie neologizmy), łatwo jednak w tych ornamentach dostrzec powtarzający się jeden motyw: — nazywania nienazwalności. Nie bogactwo — tylko ciągle wyszukaność. Krąg znaczeń zawsze ten sam i zamknięty. Cykl ballad w *Łące* to próba wzbogacenia ubóstwa urzędowistnionego dawniej mitu lirycznego. I *Łąka* jest w tym doskonała, w czym ten mit konsekwentnie wypełnia (niektóre wiersze cy-

ku prologowego, niektóre ballady). Miejscami jednak chwieje się ta konsekwencja — warunek piękna liryzmu (np. w niżej to „typowej“ dla Leśmiana balladzie *Swidryga i Midryga*). W *Napój cieniasty* wali się ten doskonale niegdyś piękny liryzm, — tym wypełnia dramatyczne burzenie własnej poetyckości. To już nie liryka — to widowisko. To gra pół i nibypoetyckich sił. Już nie poetyckość, a tylko jej retoryczne sformułowania, których pełno w tej książce, zwłaszcza w długich poematach — komentarzach do własnej twórczości (*O rozumnej dziewczynie, Eliaszu, Pan Blyszczyński*). Są to chybione próby jakiejś upoetyzowanej intelektualizacji, poetyzowanie formulek. Wiersze tracą lustrzoność, którą tak pięknie opisywał kiedyś S. Napierki: nienazwalność i niekształtność pozostaje bezimienna. Za to wśród wrzawy słów pojawiają się jakieś surogaty konkretności, wysiłki *materializowania niepochwytności*. Zlamany jest urok konsekwencji, każącej odbijać a nie ucieleśniać. Nieboszyk Madaliński, Kocmoluch, Śnigrodek, Znikomek — to kukły mające jakoś imitować zaświaty, choć wbrew poecie są surogatami nie zaświatów, tylko właśnie konkretności. I tak — część tych wierszy przepada, bo są jedynie ucieczką z systemu, nie mają poetyckiej ojezyny.

Ale obok tych przykrych, wyszukanie pospolitych dokumentów wulgaryzującego się estetyzmu odnajdujemy utwory niezwyklej piękności lub prawie piękne. To te, w których nie ma mowy o receptach na poezję, ale ocalony jest sam mit liryczny, sama idea tej sztuki niekształtów. Lecz dawny świat pierścieniem został otoczony przez świat inny, przeczuwany a tamtemu przeczący. Stąd świadome zgrzyty w ostatnich strofach, akcentowanie jednym znakiem, niedopowiedzeniem, przecuciem, zaprzeczeniem — nieucieleśnionych w wierszach konkretów (*Wspomnienie, Cmentarz, Bebleem*). Te wiersze zapowiadały jakieś przemiany piękne i ostateczne w twórczości poety. Zamiast marnotrawstwa słowa — monotonia (jak w pierwszych wierszach), zamiast niezwyklej trywialności — uboga surowość.

Droga poetycka Leśmiana nie była gościem klasycznym i prostym, ale gmatwaną dziwnych, ciemnych i krętych ścieżek, z których poczynał się w ostatnim tomie jakiś nowy, trudny, ale piękny szlak. Co nas będzie zawsze zachwycać w tej poezji, to nieskazitelna czystość zamiaru poetyckiego u źródeł i odnalezienie tej trudnej czystości u kresu poetyckich dziejów.

Tym, którzy się uczyli poezji na wierszach *Skamandra*, na skamandryckiej poetyce konkretności, wiersze Leśmiana ukazywały inne rozumienie sztuki, mały spokój konkretności sytych i upitych.

ANTONI ANDRZEJEWSKI

BOLESŁAW MICIŃSKI

POZGONNE

Jeśli piszę dziś o Zbigniewie Uniłowskim, to nie dlatego, że jest zwyczajem wspominać tych, którzy odeszli, żać i chwalić ich zalety. Piszę z najgłębszej potrzeby, żeby na chwilę jeszcze zatrzymać przed

tego wymaga od nas życie praktyczne, ale spostrzeżenia artysty wolne są od celów ubocznych: artysta patrzy dla samej radości widzenia. Obojętne mu to na co patrzy, chodzi mu przecież tylko o radość płynącą



ZBIGNIEW UNIŁOWSKI

oczyma jego postać, żeby zatrzeć choć na chwilę tę granicę jaką wczorajszy dzień wykreślił między nim a nami — żeby odpełnić śmierć, żeby zmusić ją do ucieczki, do cofnięcia się, żeby się cofnęła choć na parę minut, w ciągu których piszę te słowa. Bo przecież pisać można o nim tylko jako o tym, który żyje konkretnym, realnym, rzeczywistym życiem. Nie można mówić o nim jak o cieniu ewokowanym z pamięci.

Bez metafor i lirycznych uniesień: nawet ta ciemna, dwuwymiarowa smuga, pełnąca za każdym z nas, gasła i kryła się wstydliwie pod jego stopami, które tak zuchwale niemal, tak zdobywczo deptały ziemię.

I dlatego właśnie jego śmierć jest tak przerażająca. Jeszcze go widzę, a ci, którzy czytać będą kiedyś *Wspólny pokój*, niech go widzą takim, jakim on widział swego bohatera: na dworcu, otoczony *ruchem*, *ruchem*, który był jego żywiołem, etoi i potracą stopą o bruk, aby raz jeszcze się upewnić o radosnym fakcie swojej egzystencji, aby ją zaznaczyć, aby się nią macieszyć.

Konrad Fiedler, jeden z najprzenikliwszych teoretyków sztuki, nazywał twórczość artysty zintensywnieniem normalnego, właściwego wszystkim procesu — zintensywnieniem aktywności postrzegania. Zazwyczaj rozwijamy pojęcia za cenę postrzeżeń (bo

z nierównanej precyzji widzenia. I na tym właśnie — jak mi się zdaje — polegała tajemnica twórczości Uniłowskiego. Umiał patrzeć i widzieć to, co gaśnie już w uschematyzowanym polu widzenia. Umiał notować spostrzeżenia podprogowe, nieuchwytnie, „nieprzydatne“ i *tlumione*, i dlatego jego twórczość była tak niezwykle, prawdziwa, bolesna i rewolucyjna. Był naturalistą, ale w ramach prawdziwego, twórczego naturalizmu nie artysta „potrzebuje“ rzeczywistości, — to rzeczywistość potrzebuje artysty, który by ją umiał widzieć i ujmować.

Patrzył na świat równie zuchwale i zdobywczo, jak zuchwale i zdobywczo deptał ziemię, jak zuchwale, radośnie i zdobywczo potraczał peron dworca obcasem swego sobowtóra wśród dymu, gwizdów i zgiełku wielkomięjskiego dworca. Czas — forma ruchu i zdarzeń — czas był łożyskiem jego osobowości. Czas ciekł za wolno. Wylamał się z łożyska czasu. W tym chyba nie ma metafor ani poetyckości, której tak nienawidził: wylamał się z łożyska czasu, bo tak się śpieszył do nowych prac — żeby siebie łamać, przekształcać, żeby coraz to wyraźniej, coraz to zuchwalej widzieć świat. Chyba dlatego umarł — bo trudno uwierzyć, żeby jego mogła zabić tylko choroba.

BOLESŁAW MICIŃSKI

JÓZEF CZECHOWICZ

PLAN AKACJI

Galąz akacji woń to lichtarzy, miodu i uciech.

Ach, poi — jakbyś nad sobą sam się pochylał gnuśnie.

Westchniesz, jak niebo usniesz

i liśmi zamulisz ciepłe wybrzeże.

Ta galąz — skrzydło nieziemskie — nagość twoją ubierze...

Muzyczny cień karuzeli zdobywa wody i pień.

Z dymnych błękitów rumieniec na drzewo, na miasto zachodzi, napelnia także domu sień tętentem godzin.

Oto podwórza cierpienie, oto ogrodu śmiech:

bo upadł mocno i glucho,

niby spętany jeniec,

akacji starej plan — w lopuchy.

W lopuchy, w ciernie, pokrzywy!

A mnoży się tam! A trpi,

musując wulkanicznie-jutrzenkowo!

Białych płatków zastęp

ku wybrzeżu powietrzem steruje.

Tam bulgocące żarem hipogryfy

do wodopaju gna koryncki pasterz

(czy nazareńczyk szanujący Słowo).

Któż wreszcie wyzna, co trzeba:

różycę, korabie nieba,

lub — smutno mówić — Ogrójec...

W niedzielę, dnia 28 listopada 1937 roku o g. 12-iej w południe odbędzie się w sali Teatru Narodowego

pod protektorałem

POLSKIEJ AKADEMII LITERATURY

AKADEMIA

ku czci

BOLESŁAWA LEŚMIANA

Słowo wstępne wypowie JAROSŁAW IWASZKIEWICZ

Poezje Bolesława Leśmiana recytują:

STEFAN JARACZ, MARIA WIERCZIŃSKA
i MARIAN WYRZYKOWSKI

Bilety do nabycia w Kasie Teatru Narodowego, w Biurze „ORBIS“
Marszałkowska 98 i w Związku Literatów Polskich, Pierackiego 16a

ALFRED ŁASZOWSKI

MYŚLENIE CAŁOŚCIAMI

Z prawdziwą przyjemnością odpowiadam dziś na artykuł p. Lichańskiego, zamieszczony w *Pionie* (Nr 43). Po tylu nieuczynnych atakach — nareszcie głos rozsądny, perswazyjny i w pełni insynuacji w typie standardowym (chce wypluć, karierowicz, sprzedał się, itp. niedziarstwa, powtarzane przy każdej okazji przez drugorzędnych fabrykantów sody).

Przystępuję od razu do rzeczy: Lichański stwierdza, że weszliśmy w okres głębokich przemian, wymagający czułości i równowagi. Jasna rzecz. Ale trzeba rozróżnić dwa aspekty w ruchach ideowych: program i metody jego urzeczywistnienia. Może się zdarzyć, że zadania i cele danej grupy, opracowane w sposób zupełnie racjonalny, z chwilą wprowadzenia w czyn mobilizują emocje działaczy w kierunku ustalonym. Realizacja najbardziej precyzyjnie obmyślonych planów i zmierzenia udaje się jedynie wtedy, kiedy wiedza i chytrych idzie w parze z żywiołowym fanatyzmem dążenia. Równowaga, trzeźwość, umiar — to duch laboratorium i biura planowania. Okres prac przygotowawczych wymaga zimnej krwi. Wiadomo. Lecz im trudniejsze i dalsze są cele, tym większej energii potrzeba dla ich osiągnięcia.

Przekleństwem naszego myślenia jest to, że odróżniamy racjonalizm od irracjonalizmu w działalności społeczno-politycznej, gdzie owe elementy zawsze występują razem. Dyspozycje uczuciowe mas walczących mają ściśle wytknięty kierunek: można się z nimi nie zgadzać, ale przecież w każdym najbardziej spontanicznym ruchu zasadniczą rolę odgrywają hasła praktyczne i utylitarne. Program podyktowany przez logikę nie wyklucza silnych wzruszeń, przeciwnie: wymaga je i potęguje. Czyż fanatyka wiedzy ściślej posądzi kogoś o irracjonalizm? Nigdy. Powiedzą o nim, że ma temperament intelektualny. Bo człowiek nie jest podzielnym. Wszystkie jego uczucia zmierzają do określonego celu. Myśli — to są wzruszenia w stanie artykułowanym.

Wiek XIX był okresem atomizacji życia duchowego. Analiza rozbiła je na części, nie biorąc pod uwagę związków strukturalnych. Dzisiaj wiemy już, że psychika nie jest mechanicznym podsumowaniem elementów danych w doświadczeniu wewnętrznym. Rozum, uczucie i wola — to jedno. Neguję w ogóle możliwość istnienia prądów racjonalnych i irracjonalnych w życiu politycznym. Filozofia może sobie operować konwencjonalnymi podziałami; nas interesuje człowiek integralny. Zdolność myślenia, fanatyczny upór w dążeniu do celu. Dogmat intelektualny musi być źródłem energii i wiary. Pewniki pozbawione dalekoosiężnych konsekwencji spoczywają na cementarzu truizmów. Są jałowe i bezużyteczne. Interesują mnie tylko takie aksjomaty, z których może coś wyniknąć na przyszłość. Klasyfikacje, jaką wprowadza p. Lichański, uważam za przebrzmiałą. Kto buduje „swe poglądy na chwiejnych fundamentach przedwojennego irracjonalizmu”, musi przyjąć podział na autonomiczne strefy rozumu, uczucia i woli. Ponieważ odrzucam go kategorycznie, trudno mi zaliczyć go do jednej z wymienionych grup. Te szufladki mogą mieć znaczenie schematu orientacyjnego w seminarium dla początkujących.

Legitymacją mego irracjonalizmu ma być rzekomo zdanie, wyjęte z *Analizy leż krakodylich*: „Czyn jest właściwym aktem poznawczym, warunkuje rzeczywistość i nadaje jej kierunek rozwoju”. Trudno o sformułowanie bardziej empiryczne. Wszelkie działania celowe wynika z przesłanek racjonalnych, opartych na doświadczeniu bezpośrednim. Lecz sama znajomość warunków i okoliczności nie wystarcza. Trzeba zmienić wzajemne proporcje elementów, aby one nam coś o sobie powiedziały. Statyczny układ nie wyczerpuje możliwości innego powiązania fragmentów i części. W tym sensie czyn jest aktem poznawczym, zawiera w sobie element niespodzianki i współczynnik ryzyka. Nie wystarczy stwierdzić, jak jest. Świat zamierzony nie daje się bez reszty odczytać z gnijących konturów świata otaczającego. Trzeba wypróbować szereg recept, hipotez roboczych. Diagnozy nasze różnią się i kłócą. Stoję na stanowisku pluralizmu metodologicznego — p. Lichański wzmawia mi irracjonalizm.

Rzeczywistość nie jest tworem skończonym: na tym założeniu opiera się każdy myśliciel i działacz. Wola wyciąga wnioski z przesłanek intelektualnych, intelekt korzysta z zasobu doświadczeń jakie opanował. Zróżniczkowano jedną władzę dla lepszego pojęcia tej funkcji. Poznanie empiryczne może nam wskazać szereg dróg, szereg rozwiązań równorzędnych; ale o tym, które jest najlepsze, decyduje w ostatniej instancji eks-

peryment, nie zaś aprioryczna analiza faktów. Moim prywatnym przekonaniem jest, że w życiu politycznym wartość danej idei zależy od wartości zespołu ludzkiego. Każdy program zawiera postulaty obiektywnie słuszne. O zwycięstwie decyduje „kaliber” ludzi, stopień napięcia woli, furia, fanatyzm, zaciętość, niechęć do sięgania do rzeczywistości. Intelekt wskazuje cele, wyzwala gotowość do działań bezpośrednich. Gdy trasa jest wytknięta, żywioły mogą dojść do głosu. Najlepszy plan staje się bezużyteczny z chwilą, gdy nie można zeń wykręcać pasji realizacyjnej. W polityce szanse są równe. Wygrywa nie program lecz człowiek. Gdyby Hitler uwierzył w komunizm, Niemcy byłyby komunistyczne. Tu wszystko zależy od gatunku czynników kierujących. Nie wystarczy mieć rację. Rację jest tyle, ile sił walczących. Trzeba swoją wysunąć na czoło, trzeba na niej zawziąć.

Dochodzimy do momentu irracjonalnego. Indywidualność — oto największa tajemnica dziejów. Tylko człowiek naiwny lub ograniczony może wierzyć w hegemonię „słuszności”, pojętej czysto abstrakcyjnie. Prawda nabiera znaczenia w zależności od talentu wyznawców. Nie dogmaty lecz geniusze toczą bój o prymat nad rzeczywistością. *Historia jest próbą człowieka, nie zaś próbą teorii*. Najwięcej jałowych i bezplodnych „racji” słyszy się z ust ludzi niezdolnych do czynu. Powstanie styczniowe i listopadowe nie dlatego skończyły się klęską, że warunki obiektywne sprzyjały się przeciw walczącym, ale dlatego, że brak było wielkiej koncepcji wojennej. Stawiam tylko na ludzi. To są ostateczne sprawdziany doktryn równouprawnionych w momencie startu dziejowego.

Wielkość jest kluczem sytuacji. Nie poza tym. Spośród wielu słuszności wybiera jedną. Każę wierzyć. Tworzy nową hierarchię. Ów akt wyboru — to nie tylko mechaniczna konfrontacja argumentów, szans i możliwości. Gdy Piłsudski zaczynał tworzyć Polskę, piewcy „zdrowego rozsądku” i trzeźwej kalkulacji zwrócili się przeciwko niemu. Mówiono, że z Hitlera nie będzie, mówiono: Mussolini przegra marsz na Rzym. Przeliczono się. Racjonalista zawsze się przeliczy: bierze on pod uwagę to co jest, a geniusz

wygrywa wielką niewiadomą — własne zdolności, których nikt jakoś nie uwzględnił w ramach bilansu sytuacyjnego. Zapomnieli o człowieku! Te słowa podważają sens wielu dzisiejszych horoskopów. *Dane rozumu i dane doświadczenia stanowią tylko jedną z przesłanek intuicji twórczej*. Ona daje właściwą syntezę elementów empiryczno-intelektualnych. Korzystać z wiedzy ogólnie dostępnej, to nie znaczy jeszcze poprzestać na jej rezultatach. W obliczu wielu alternatyw mąż stanu musi powiedzieć: „Ta prawda zwycięży, która będzie miała sprzymierzeńca w mnie”. Korzenie takiej decyzji są zawsze ukryte tajemnicą. Można ją umotywić tylko do pewnego stopnia. Dalej ciemność zupełna, żywioł przeczuć, brak znaków na niebie i ziemi. Geniusz jest sam. Nie ma dla niego układu odniesienia w „rachubach realnych”. Stamtąd czerpie jedynie współczynniki rozstrzygnięć ostatecznych. Gdyby wielkość była kwestią kalkulacji, mielibyśmy dzisiaj wielkich ludzi wszędzie. Któż zdola wywieść czyn ze wzorów i formuł logicznych? Zbyt często utożsamia się u nas politykę z buchalterią. P. Lichański uważa, że postawa ryzykancka jest postawą łatwą, ponieważ zmniejsza poczucie odpowiedzialności. Nie podobnego. Rozważamy przecież ryzyko na wielką skalę, takie, gdzie wszystko można zyskać albo wszystko stracić. W podobnych warunkach odpowiedzialność wzmagą się, urasta. Przeciwnik impetuje mi pewne założenia na własny rachunek. Człowiek narzędziem w ręku sił wyższych? Gdzie? Co? Jak? Czytam cały artykuł od deski do deski. Szukam tego zdania. Nie ma go, nigdy nie było.

A teraz jedno z dalszych pytań rzucanych farysom. „Czy zdołamy zbudować lepsze jutro, jeśli pójdziemy za podseptem i dei, które podkopują nie tylko poszczególne nakazy moralne, ale godzą w samą możliwość moralności?”. Walka ma własną moralność. Proste: zabicie człowieka w czasie pokoju jest zbrodnią, lecz wojna zmienia postać rzeczy, wprowadza inne kryterium. Stosunek do wrogów wewnętrznych musi być, oczywiście, taki sam w wypadku, gdy ich działanie na szkodę państwa staje się faktem bezspornym i udowodnionym ponad wszelką wątpliwość. Modny banal każe uto-

żsamiać irracjonalizm z chaosem. P. Lichański mówi o mgławicy nastrojów i wrażeń, o ślepych odruchach zupełnie tak, jak gdyby uczucia nasze nie posiadały określonego kierunku i celu. Emocja zabarwia akty woli, nadaje pragnieniem wibrację i temperaturę. Wiek XIX nauczył nas rozróżniać rzeczy jednoznaczne, zrobił z człowieka istotę podzielną. Zamiasz myśleć całociałami, krytyk mój przeciwstawia sobie pojęcia dopełniające się nawzajem. Chce zwalczać polski kompleks Somosierry, nie wierzy w skuteczność porywu irracjonalnego. Twierdzenie, że psychologia oparta na wzruszeniach i pasjach zbiorowych nie może dawać praktycznych rezultatów, jest niezgodne z prawdą. Nie wierzę, by Polak mógł działać krok za krokiem, powoli, spokojnie i systematycznie. P. Lichański ma teoretycznie rację, nie liczy się jednak z psychologią narodu w którym żyje.

Na uwagę zasługuje jedno z dalszych twierdzeń p. Lichańskiego. Powiada on, że kiedy w masach budzą się odruchy spontaniczne, proces ten zazwyczaj idzie w parze z racjonalizacją impulsów nieartykułowanych. Natomiast inteligencja, wydana na łup chaotycznego emocjonalizmu, wyzbywa się swojej świadomości kulturalnej, byle wrócić do źródeł instynktu, odzyskać jego mądrość utraconą. Ta wiedza dostępna dla natur pierwotnych nie udziela się na zawołanie. Jest rzeczą wykluczoną, by można ją było odzyskać. Warstwa oświecona rezgnuje ze swoich władz poznawczych sądząc, że na tej drodze zdobędzie irracjonalne zrozumienie świata. P. Lichański zupełnie słusznie kwestionuje możliwość powrotu. Gdyby jego koncepcja człowieka nie była koncepcją szczerą i fragmentaryczną, uznałby to całe zagadnienie za fikcję opartą na fałszywych podziałach i klasyfikacjach XIX w. Inteligent dawnego typu potrafił nieraz zrobić plan zrationalizowany do szczegółów włącznie, lecz z chwilą kiedy trzeba było go wykonać, stwierdzał że brak mu energii i woli. Dzisiejszy irracjonalizm odgrywa po prostu rolę siły motorycznej. Impulsy nasze służą myślom. Nikt nie zamierza rezgnować z udziału świadomości intelektualnej, przeciwnie: kolosalne napięcia uczuciowe idą w parze z precyzją koncepcji. Można się z nimi zgadzać lub nie, ale trudno określić program organizacyjny mianem bełkotu emocjonalnego. Cele są jasne, wyraźne, wyznaczone ściśle, a że z nimi wiąże się wielka emocja — to właśnie dowodzi, jak dalece stare podziały wychodzą z użycia. Przewyciężyliśmy neurasteniczny kompleks inteligencji bezwoli i beżsiły.

Świadomość kulturalna nie wyklucza wcale pasji, impetu i temperamentu; nie trzeba jej utożsamiać z przepisami dobrego wychowania. Formy towarzyskie w okresie wrzenia rewolucyjnego ulegają pewnemu rozluźnieniu — to trudno i darmo. Wykwintnie nie robią historii. Rozpatrywanie przełomu dziejowego z punktu widzenia zasad galanterii salonowej ośmieszają nas na każdym kroku, dowodzi bezprzykładnej naiwności. Psychikę współczesnego rewolucjonisty określa p. Lichański jako nieharmonizowaną i niezharmonizowaną. Dlaczego? Bo tak się już przyjęło. Reprodukacja szablonów obowiązuje w sferze ludzi „dobrze wychowanych”. Tłumaczyć im, że każda akcja bojowa wymaga piekielnej precyzji intelektualnej — po co? Żywią na pewno pogardę dla zagadnień z zakresu strategii i taktyki. To jest gorszy gatunek, „mokra robota”, to się po prostu nie liczy. Lekceważenie rzeczy groźnych nie zdoła ich zażegnać ani przemo. Najłatwiej robić obrażone mruy wiedząc, że historia kpi sobie z najbardziej uręczystych grymasów, nie jest grą towarzyską ani leką tanców.

Kultura powstaje z niepokoju, z nadmiaru, z gwałtownego starcia sprzeczności, z konfliktów na dużą skalę. Mieszkański ideal p. Lichańskiego — to bierny konsument, pozbawiony ambicji tworzenia. Kto odczuwa „harmonię”, nie potrzebuje pisać, malować ani rzeźbić, ponieważ wszystko jest w nim *a priori* rozstrzygnięte, załatwione i ukształtowane. Wielka sztuka powstaje pod wpływem dramatycznego zakłócenia sił. Stan równowagi — to początek końca. P. Lichański ostrzega klerków przed przechodzeniem na cudze podwórko: otóż, gdyby nawet przyjął, że komunizm i faszyzm zagrażają kulturze bezpośrednio — to właśnie obowiązkiem klerków powinno być czuwanie po obu stronach barykady.

Jeśli subtelni rzeczoznawcy spraw sztuki potrafili być mądrymi doradcami wodzów zwycięskiego świata, jeśli zamiast siedzieć w szklanych wieżach staną u boku wielkości — niejedno piękne dzieło przetrwa okres utylitarnego pojmowania literatury.

MARIA KRÜGER

POWIEŚĆ O AECJUSZU

Powieść historyczna przeżywa obecnie ciekawy renesans. Awangardę niejako tego okresu stanowiły efektowne biografie szereg postaci historycznych. Biografie zasypywały rynek, stanowiąc poniekąd surogat powieści historycznej, wypełniając lukę, jaką wytworzyła się w piśmiennictwie. Popularność, zdobyta przez niektóre, świetne zresztą biografie, wskazywała najlepiej na zapotrzebowanie na powieści historyczne, jako na równowagę i przeciwstawienie banalnej tematyce powieści współczesnej.

Ostatnio coraz częściej biografiami — chronologiczny opis splotu wydarzeń, które miały miejsce w życiu tego czy innego wybitnego człowieka, zaczyna ustępować miejsca powieści historycznej. Ramy, zawierające epokę rozszerzają się, autor nie ogranicza się do jednej, jedynej postaci. Raczej dąży do odzwierciedlenia całej epoki. Stwarzając intrygę powieści, stara się zrekonstruować psychikę ówczesną, metody postępnę i reakcje.

Aecjusz, ostatni Rzymianin Teodora Parnickiego¹, powieść — jak zaznacza sam autor — historyczno-biograficzna, jest doskonałym przykładem tego przejścia od biografii do powieści historycznej, gdyż łączy w sobie uczuciową źródłowość z rzetelnym wysiłkiem jednoczesnego, wiernego zrekonstruowania przeżyć i doznań bohaterów. Jeśli w pewnych momentach mogłaby nas razić zbyt drobniawość w odmalowaniu tych stanów psychicznych, to należałoby to położyć na karb dużego temperamentu pisarskiego autora.

Żywość Aecjusza wprowadza nas w tę epokę historii, która dla przeciętnego czytelnika przedstawia chaos. Rzymianie, Germanowie, barbarzyńcy, subtelne sprawy kościelne — to wszystko jest trudne, niejasne, zagmatwane dla umysłów słowiańskich. Ale zarazem pełne uroku przez tę inwazję obcych, nieomal egzotycznych elementów w konwencjonalny świat Rzymu.

Na tle tej epoki dzieje wspaniałego Aecjusza rysują się mocno i ciekawie. Wnikli-

¹ TEODOR PARNICKI: *Aecjusz, ostatni Rzymianin*. Powieść historyczno-biograficzna. Tow. Wyd. „Rój”.



TEODOR PARNICKI

wość autora w rekonstrukcji postaci wodza można by nazwać doskonałością. Oświetlenie bohatera zarówno od strony jego wewnętrznych przeżyć, jak i od strony reakcji otoczenia, daje mądrą, dobrą plastykę postaci. Nie jest to próba tłumaczenia na współczesne doznania, jak to zrobił Iwaszkiewicz w *Czerwonych tarczach*, nie jest to również obiektywny, malarski reportaż z przeszłości w rodzaju *Było tak* Wołoszynowskiego — ale jest *vie romancée* w najlepszym stylu, na najwyższym poziomie. Każde przeżycie bohatera — to oddzielne studium psychologiczne.

I jeszcze jedna strona powieści — to jej dynamika i malarskość. Można nawet powiedzieć „filmowość” — operowanie plamami światła i barw. W sumie wszystko to sprawia, że zapowiedziany dalszy ciąg powieści oczekiwany jest z dużym zainteresowaniem, dalekim od snobizmu.

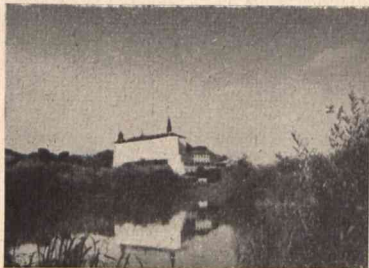
MARIA KRUEGER

ALFRED ŁASZOWSKI

JAN EMIL SKIWSKI

S A N D O M I E R Z

Ze z kolei do miasta jest dobre trzy kilometry i że je trzeba przejechać czym Bóg da: żydowską dorozką, albo, jeśli się komu poszczęści, ładnymi kasztanami posła Krawczyńskiego — to ostatecznie do osłabłości Sandomierza nie należy. Ta uwertura wraz z białym w dzień dżdżysty, a z tumanami kurzu w dzień suchy, rozumie się w stosunkach polskich niejako sama przez się. Cud sandomierski wyróżnie przed nami nagle, w chwili kiedy zmęczone konie zaczną „brać górę“.



ZAMEK W SANDOMIERZU
fot. R. Kosela

Zdarzyło się, że przyjazd mój do Sandomierza wypadł późnym wieczorem. W jeden z tych dni wrześniowych, które jak gdyby zawieszają wszelki niepokój na niebie i ziemi. Ciepło łagodne, równe jak oddech wieczności przenika nas w sposób niejako absolutny. Wieczór z lekka tylko oziębia powietrze, wydobywa na wielkie płótno nowy księżyc srebrno-siny, lśniący, patetyczny, teatralny, niezawodny. Zresztą księżyc miał rację, że tego właśnie wieczoru ukazał się w tak dobrej formie, tuż nad ratuszem sandomierskim. Zobaczyłem obraz, godny równocześnie tytułowej strony jakiegoś — nie napisanego dotąd — przewodnika po miastach Polski — i najczystszy natchnienia poety. Wysoko korona atyki renesansowej, nad nią czysta, jak wykrajana z glansowanego papieru księżycowa tarcza. I światło, o którym się mówi zresztą słusznie, że się ścży. Światło księżycowe, nawet w dni pogodne, nawet kiedy na jego drodze nie wisie mleczna zasłona mgły, jest jakieś powolne i rozlewa się w cichym skupieniu. I tu na wstępie poznaję pierwszą i zasadniczą tajemnicę Sandomierza: jest nieogarniony. Trzeba dopiero wyjechać na Wisłę, by z oddali zobaczyć, jak się ucepił brzegu wiślanego, jak wystrzela białą, skalną wyspą z łagodnego tła zieleni i pagórków. Ale skoro znajdziemy się wewnątrz, przynigdy nie uda nam się nie tylko ogarnąć jego całości, ale bodaj większego fragmentu. Kryje się, wykręca, ucieka, chowa swoją piękność za pagórki. Nawet rynek jest spadzisty, to miejsce niejako z przeznaczenia płaskie. Jest to zarazem jedyne miejsce w Sandomierzu, gdzie oko może wypłynąć na dalszy horyzont. Przede wszystkim widzi się ratusz. Do Ratusza wciąż się powraca. Oglądany z góry, jest połączeniem symetrycznej, prostokątnej zabawki z surową średniowieczną warownią. Ale dość zapuścić się w jedną z uliczek bez nazw — tak, bo w Sandomierzu są jeszcze ulice bez nazw, szczęśliwe miasto! — by się dostać

od razu w labirynt. Podobnie jak w labirynt, który daje złudzenie wielkich przestrzeni skutkiem zawile pogmatwanych uliczek, tak i tutaj toniemy w tej nigdy nieogarnionej całkowicie sutości kęp, spadków, tarasów, wawozów, krętych, wyłożonych wąskimi pasemkami wapiennego brukowca uliczek, zaułków, niespodziewanych przecznicy przetrzonych jakby kaprysem artysty raczej niż rozmysłem urbanisty. Cudne jest przedmieście Sandomierza: fantastyczna zielona uwertura, pełna niewyzerpanej bujności tkwiącej w połączeniu pagórkowatego terenu, roślinności i kamienia.

Nie będę opisywał kościołów i zabytków, ale nie mogę przemilczeć Bramy Opatowskiej: jest to jakby wielka kamienna tama, która władczo stanęła na drodze między dawnością i teraźniejszością. To co jest przed bramą i za bramą, to są dwa światy. Na górze rynek, a stamtąd już krok do katedry z bizantyjskimi freskami, do kościoła św. Jakuba, do domu Długosza. Po tamtej zaś stronie zostawia Brama nizinę, płaszczyznę, powszedność, budujące się nowe życie Sandomierza dzisiejszego.

I nie mogę pominąć jeszcze jednego — to starego kaźmierzowskiego śpiżrca na peryferiach miasta. Na tym śpiżrzu widać sekret budowli średniowiecznej. Niby tylko dom, nawet niezadany, taki sobie wybielony, ot rozwalic tylko — a przecież jest w konturach tej budowli i wielka perspektywa czasu i niezwykła szlachetność linii. Podobnie jak miecze średniowieczne, które oglądałem na ratuszu, prezentowane nam przez gościnnego, zanego burmistrza Musielskiego, mają w sobie prymitywność, przypominającą narzędzia przedhistoryczne, tę jakąś wybujałość donkiszcocką, dragowatą i patetyczną, ten krój poważny i rycerski, bez uśmiechu znoszący swą niezadarność — tak i tutaj zwykła skarpa, wykroj okienek małych i kwadratowych nosi piętno wtajemniczenia czasów na zawsze minionych. Śpiżrz stoi na pustkowiu — zaraz obok ploty, jakaś żerdź chwiejąca się na wietrze, wyżej zieleń, a nokoło obrasta nowe życie.

Jest w pejzażu pewien sekret proporcji, który określam jako balladowy. Od takich określeń rola się literatura młodopolska, szafowała nimi tak szczerą ręką, że w końcu wyparowało z nich życie. Wydawało się nawet ludziom, że one już tak od urodzenia nie znaczą, niby ornament na tor-



STARA KARCZMA W ZAWICHOŚCIE
fot. Venus

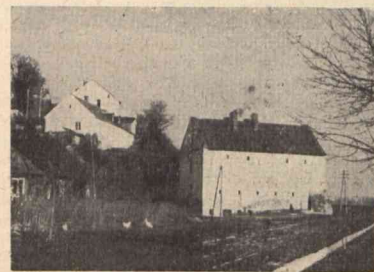
cie. Ale to nieprawda: tylko człowiek znieprawia słowa, one są zawsze w porządku. Przymiotnik *balladowy* jest dla mnie pełen konkretnej i wzruszającej treści. Wchodzi tu w grę wyniosłość, strzelistość i pewien rytm szeroki i wielkoduszny, i rycerskość. Kiedy przejeżdżałem po raz pierwszy koło wielkiego kaźmierzowskiego zamku drogą tak stromą, że gwoli ulżenia szkapom zsiadało się z brzycki, określenie *balladowości* narzuciło się „samo“ mojej wyobraźni. Te białe ściany, potężne a jednak strzeliste, z muzyczną rytmiką budowy, white szerokim akordem w ziemię i sunące pod niebo wysoką kamienną ścianą, te baszty z zakrzepłą w nich czujnością dawnych wieków, nieświadome, że czujność jest dzisiaj inna, stalowa, elektryczna, uparte w swym zaspieciu i nie słyszające prócz wiatrów, tak samo dziś jak przed wiekami szamocących zielonymi czuprynami drzew — to wszystko jest balladowe.

Ale ballada zamku kaźmierzowskiego ma przykrą odwrotną stronę. Tak zwana bolączka, tak zwany skandal. Oto w pięknym zamku mieści się — więzienie. To straszne jednak, że nigdy nie można się ani zachwycić ani oburzać bez przeszkód, tak jakby się chciało, całą duszą. Próbowaliśmy się np. oburzać na umieszczenie więzienia w tym gmachu. Miałem w dodatku grono przednich współoburzczyków, którzy mi genialnie sekundowali, literatów, dziennikarzy, nawet „osoby urzędowe“. Ale kres mojemu oburze-

niu położył człowiek, który mi spokojnie wytłumaczył, że 1-o już Rosjanie to więzienie tam umieścili — ten argument zresztą mnie nie wzruszył. I 2-o — a ten argument mocno mnie wzruszył — że jedyny sposób, przy naszej ciasnocie pieniężnej, konserwowania takich wielkich budowli, to danie im „lokatora“. Kiedy znowu powtórzyłem ten argument nieporównanemu bardowi sandomierszczyzny, takiemu co to za zaprzepaszczenie garnkę ze starymi monetami gotów najdostojniejszej osobie lokalnej do oczu skoczyć, słowem Romanowi Kosele — zrobił uwagę niestety nieodpartą, że owszem bardzo ładnie, ale ponieważ jest to więzienie „ciężkie“ (czy są więzienia lekkie?), więc wielkie sale porzabijano na cele, a taka znów gospodarka jest bardzo niecelowa ze stanowiska „zabytkowego“. Przekazuję to ostatnie dostępne mi ogniwo dialektyki więziennicko-konserwatorskiej tym, którym dana jest władza...

Z t. zw. „uśmiechów“ miasta zanotuję tylko te, które mnie wyraźnie „wzięły“.

Walęsząc się po rynku, w jakiś dzień dżdżysty, wsparty o niezawodne ramię Koseley, zatrzymałem się koło domu Zbigniewa Oleśnickiego. Barbarzyńsko zespecili ten dom zaborcy, burząc piękną attykę renesansową, której fotograficznie udało mi się obejrzeć



ŚPICHRZ W SANDOMIERZU
fot. Orion

w zbiorach doktora Krawczyńskiego. Otóż niedaleko od tego historycznego domu pan M. Grynblum, czapnik z zawodu, wywiślał szylld, który swym egzotycznym pięknem zasługuje na komentarz. Czapki uczniowskie, studenckie, oficerskie, tudzież żydowskie „dzokiejki“ z guzikiem na czubku pozawieszane są na konarach jakiegoś fantastycznego, wyrwanego ze snów B. Schulza „drzewa czapek“. Wiotki i kręty pień wypuszcza węzowe pędy, stwarzając z jednej strony podobieństwo z drzewem Wiadomości Dobrego i Złego — z drugiej ostatnią groteskową reminiscencję szlacheckiego drzewa genealogicznego. Na szylldzie pana Grynbluma wielka futrzana czapa, przypominająca rosyjską papachę, stoi skromnie obok, tylko dyskretnie zaznaczając, że „może być i taka“ — protoplasta drzewa ukryty jest gdzieś pod ziemią. Ale widziałem inny szylld, skonstruowany w sposób analogiczny — widocznie taki mają kanon — gdzie ową drzewo wyrasta z takiej właśnie papachy. I muszę przyznać, że ta druga wersja sprawia wrażenie głębsze, potężniejsze, kompozycja jest bardziej syntetyczna, a wyrastanie drobniejszych kształtów nakryć „głównych“ z futrzanego kopca ma w sobie symbolikę zaiste biblijną. Abraham zrodził Izaaka, a Izaak zrodził Jakuba...

Lokale? — Ależ naturalnie! Przede wszystkim dwa: reśursa i restauracja „U Ciotki“ pod Bramą Opatowską. Wchodzę tu w sferę dość drażliwą, bo cóż bardziej kłopotliwego, niż rozdzielić światła i cienie, a bodaj same tylko światła pomiędzy dwie instytucje w równym stopniu godne uznania, a przecież z sobą współzawodniczące. Powiem krótko: kto pragnie przepychu, tonu wielkowieświatowego, kto chce spotkać dygnitarzy lokalnych, albo zgoła warszawskich, włączając w to sfery najwyższe, w razie jakiegóż mniej lub więcej oficjalnego najazdu na Sandomierz — ten niech bez wahania idzie do reśursy. Światowice, viveur, dygnitarz znajdzie tu to czego szuka. Ale intelektualista, ale człowiek zakochany w kolorze lokalnym, szukający zacisza, atmosfery do rozmów sekretnych i subtelnych, a zwłaszcza pragnący dostąpić w sposób łatwy i skuteczny audiencji u Koseley przy „krowentalerze“, lub doskonałych flach — niech idzie do „Ciotki“. Żeby unaościć na czym polega różnica między tymi dwoma instytucjami, porównam je z oficjalną francuską akademią i z akademią Goncourtów. Zawsze znajdują się ludzie, którzy powiedzą: „A jednak co akade-



BRAMA OPATOWSKA
fot. Venus

mia to akademia!“ — i ze swojego stanowiska będą mieli rację. Ale znajdują się też inni, którzy nad splendor palm akademickich przekładają zacisze kółko wtajemniczeń duchowych i intelektualnych, zamknięty lańcuch mafii w znaczeniu najpodniejszym i jedynie dozwolonym. Akademia oficjalna — to reśursa, Akademia Goncourtów — to „Ciotka“. Najwytrawniejszy dyplomata nie wybrnąłby z tego podziału bardziej obronną ręką.

Co to jest wawóz, o tym niby wszyscy wiemy. Ci co byli w Bretanii i znają jej słynne „wkleśłe drogi“, mają zaledwie odległe pojęcie o tym, czym jest wawóz Królowej Jadwigi w Sandomierzu. Tunel o skalistych ścianach, z powalą zieleni, długi i mroczny; światło nie dociera nigdy pełnią swą siłę w to miejsce zakonspirowanych czarów, które w tym głuchym cieniu wieków gromadziły tajemnicę przemijania. Nad wawozem rosną wiąz. Zrozumiałem etymologię tej nazwy, kiedy zobaczyłem korzenie wiązków umacniające jak druty stalowe kruszącą się skałę. Te wiązki stoja na straży tego odwiecznego wawozu i są tak dostojne, tak potężne, że ulękł się ich sam Polmin i gazociąg. Gazociąg pójdzie wawozem, ale dołem, chyłkiem.

Sandomierz jest miastem, które przechodzi w wieś. Ta prawda staje mi się szczególnie wymowna, kiedy widzę wolancik doktora Krawczyńskiego, najgościńniejszego człowieka pod słońcem, a przy tym kroniki czynu sandomierskiego równie wyczerpującej jak wyczerpująca jest erudycja Koseley, jeśli chodzi o historię. Nasz poseł sandomierski tym swoim równym i spokojnym głosem może nas godzinami wtajemniczać w geografii i topografię okolicy Sandomierza; a ponadto: co, kto, gdzie i dlaczego zbudował i w jaką stronę idzie rozwój miasta. Mam wrażenie, że znaleźliśmy się u źródła wiedzy, niezmiordowanego jak sama przyroda, i że nigdy jej całej nie ogarniemy. Ale dr Krawczyński to nie tylko informator, gospodarz i organizator; dla mnie przynajmniej, to równocześnie moment pejzażu. Widzę go, jak wyjeżdża swoim wolancikiem, zaprzęgniętym w parę dziarskich kasztanów, w otoczeniu świty swoich dwóch nieodstępnych towarzyszy: podtasiadłego wyłża Hulaja i kudłatego czekoladowego Rexa-gryfona. Rex ma grzbiet szeroki jak baran i twarz zaprawę matejkowską (w tym zestawieniu „pyśk“ lub „morda“ są nie do pomysłienia), jest reprezentacyjny, robi honory domu, a jego ustawiczne krańczenie koło wolantu pana, zwłaszcza gdy jedzie na polowanie, z akrobaticznym wskakiwaniem i zeskakiwaniem, a wszystkim to pod uważnym a tak spokojnym okiem pana posła w burce, z szarpanym polskim wąsem... Obrazek ten przypomina mi w proporcji nieco złagodzonej słynny wyjazd Sobieskiego z Wilanowa pędzla Brandta. Brak hajduków z pochodniami — to prawda. No, ale przede wszystkim — co pochodnie w dzień, a następnie: czasy się zmieniają.

Sandomierz należy do miast, które swój urok rozciągają w dalekim zasięgu. Leży w środku wielkiego okręgu żyznych ziem i pięknej bohaterskiej architektury. W Leżajsku widziałem mur obronny, który mnie zdumiał. Nie prócz muru, zmurszałego, wyszczerbionego i na szczytce porośłego trawą. Nieznacnym wygięciem płaszczyzny jak fala strzela w niebo. Otwory, przez które kiedyś paliły rusznice, te zwykłe dziury w cegle — ileż mają wymowy! Czuję się perspektywę wieków i grozę wojny i nieprzeżyty dystans, który wojnę dzieli od reżni.

W Zawichoście znalazłem karczmę z podcieniami, białą, przysiadłą, rozkraczoną jak gdyby i w tej niezadarności swojej lśniąca a-



SANDOMIERSKI „MŁODKOWSKI“
fot. St. Dziwulski

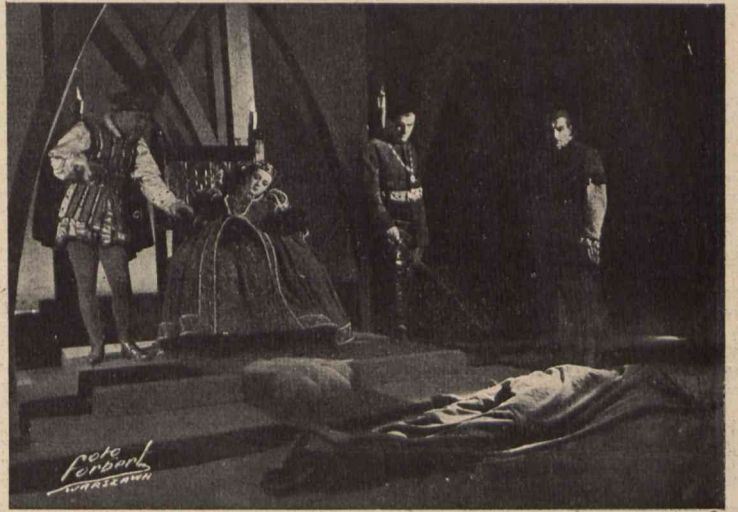
wanturczym piętnem szlacheckim, a nie-
daleko w Koprzywnicy, w kościele natraf-
łem na jednej z bocznych ścian na ulamanej
konsoli w kształcie maski skrzywionej, z
bezwładnie rozchylonymi ustami, z wysze-
rzonymi zębami i z wyrazem nadludzkiego
wysiłku przedzierającego się poprzez mękę
konania. A znowu w domu Długosza posaż-
kę tego szlachecka Chlewickiego z Chlewisk,
co to po długich procesach z Panem Bogiem
i życiu pełnym pychy tak wielkiej, iż prze-
stał do kościoła na mszę chodzić, bo było
niemiłe, że ludzie się o niego zbyt blisko
ocierają — przed zgonem własną swoją figu-
rę wyrzeźbił kazał i w podgłony kamienny
leb wwieścił kazałnicę. Ze niby tak spokor-
niał. Mnie się co prawda widzi, że łatwiej
znieść na kamiennej głowie kazałnicę, niż
łoboznego pod bokiem...

Sandomierz zwraca na siebie dzisiaj uwagę
całej Polski, staje się centralnym punktem
wielkiego okręgu przemysłowego, miejscem
skrzyżowania dróg wodnych i lądowych, łą-
czących krańce Rzeczypospolitej. Sando-
mierz się budzi. A przyjaciele jego i entuzja-
ści kiwają głowami z ubolewaniem, że jed-
nak w tym Sandomierzu nie się nie działo
od Kaźmierza Wielkiego. Wyrosło tu piękno

budowane jego rękami — i trwa. Nikt już
potem nie dorzucił. Piękno kamienne,
architektoniczne wrastało w przyrodę i sca-
liło się z nią w jedno potężne ciało. „Sando-
mierz jest zapuszczony” — powiadają, prze-
ba go odbudować.

Otóż nie podziwiam tych ubolewań. To
prawda, że Sandomierz „stał się” — i zastygł
w postaci, którą mu nadali jego twórcy, że
potem „nic nie robiono” i dopiero dziś,
kiedy u wrót jego czeka nań nowa, wielka
sława, już nie kamienna, ale stalowa, współ-
czesna, zastaje go w starej omszałej szacie.
A ja tylko powiem: dobrze. Dobrze, że to
miasto, które powstało w wielkich czasach
i które w swych kamieniach nosi ich wieczne
ślady, że to właśnie miasto nie przeszło przez
próby zalamań, wahań, że nie było upodlone
żadną słabością, że odpływ dziejów nie ze-
szpecił go, nie pomniejszył, nie skaził. Za-
snęło w czasach wielkich i budzi się w cza-
sach wielkich. Dookoła Kaźmierzowego
trzonu powstaje nowy świat, nowy Sando-
mierz współczesny. Jedyne może miasto w
Polsce, nie spdlone secesją. Dwie wielkości
zawsze się zrozumięją, zawsze sobie podadzą
ręce i dobrze, że nie ma między nimi po-
średnika.

JAN EML SKIWSKI



„MARIA STUART“ JULIUSZA SŁOWACKIEGO W TEATRZE MALICKIEJ
pp. Benda, Malicka, Nowacki, Dobrowolski

KONRAD WINKLER

WYSTAWY JUBILATÓW

Pisać o wystawie jubileuszowej, to zadanie
dosyć kłopotliwe. Wychodził naprzeciw
czyliż zasług, chociażby niewątpliwych,
bilansować czyjś dorobek artystyczny, cho-
ciażby o nieprzemijającej wartości, wykre-
sając się chytrze sianem przy młoci pewnych
pozytych „jubilatów” — to atrybucje raczej
publicysty, aniżeli sprawozdawcy artystycz-
nego. Trafia się jednak czasami rzadka oka-
żka, gdzie taka jubileuszowa pochwała mo-

ewolucji, jest etapem historycznego rozwoju,
jako nowy kompleks wartości estetycznych
i nowa metoda artystycznego „widzenia”
i odczuwania świata.

W tym etapie rozwoju formy malarskiej
impresjonizm był pierwszą próbą odświe-
żenia prawdziwego poczucia plastyki. Jako
reakcja przeciwko duchowi akademickiemu
w sztuce, ruch impresjonistyczny zapoczątko-
wał naukową koncepcję świata, opartą na
najnowszych zdobycach wiedzy w dziedzi-
nie optyki. Po barwnej analizie impresjoni-
zmu nastąpiła estetyka kontrastów i po-
szukiwanie rytmu linii i koloru. W ten spo-
sób powstał fowizm, ten zaś wywołał kon-
struktywizm, którego zwolennicy chcieli
przywrócić sztuce stałość i konsystencję, o
co nie dbali fowiści przejęci życiem barw
i rytmów.

W przeciwieństwie do afornii impresjoni-
zmu i bezkształtności fowizmu — estetyka
kubistyczna stanowiła nową afirmację
formy. Była to imperatywna obrona realno-
ści i jakości obrazu, traktowanego jako
obraz, a nie jako temat. Ale kubizm zawiódł
pokładane w nim nadzieje. Reprezentował
wprawdzie pewien etap rozwoju form ma-
larskich, ale w końcu odbiegł od malarstwa
sztalugowego, wchodząc w domenę czystej
dekoracji i architektury. Nie mógł on za-
dowolić nawet jednego pokolenia, które nie-
pokoiła wciąż gorączka poszukiwań na dro-
dze wskazanej przez Cézanne'a.

W tej atmosferze niepewności i niepo-
koju znaleźli się artyści, którzy przygoto-
wali grunt dla syntezy malarskiej bardziej
uprawnionej pod względem życiowym. Powsta-
ła kwestia realizmu w sztuce, ale reali-
zmu z nowym nastawieniem formalnym —
realizmu nowoczesnego, będącego produk-
tem starcia się nowego systemu form z dzi-
siejszą rzeczywistością. Punktem wyjścia te-
go realizmu staje się tradycja malarska w
dobrym sensie, regenerowana ustawicznie
kontaktem z naturą, gdzie nie uporządko-
waną, czysto przypadkową rzeczywistość
wiąże instynkt budowy w jedność kosmicz-
ną świata. Zaczyna się na nowo powszech-
ny kult Holendrów i realistów francuskich
XVII w., jak bracia Le Nain, jak Georges de
La Tour a zwłaszcza twórca świetnych mar-
tych natur, Baugin. Równocześnie Derain
maluje szereg swych ciekawych płócien, w
których „klasycyzując” po swojemu, wraca
do tradycji Corota, do waloru i materialno-
ści rzeczy, a Utrillo wkrzesza w swych pej-

zażach romantyczną przypadkowość pary-
skiej ulicy.

Ten znamieny nawrót do realizmu w
sztuce paryskiej wyprzedził Kramsztyk co
najmniej o lat piętnaście. W pierwszych la-
tach swej artystycznej działalności zdradzał
nawet wyraźną skłonność do podpatrywania
intymnej przypadkowości rzeczy. Istnieją z
tego okresu kompozycje figuralne o iście
barokowej przesadzie pozy i gestu, malowa-
ne w tonach zimnych z podkreśleniem
waloryzacji światłocienia. Ale pod wpływem
atmosfery paryskiej w sztuce jego nastąpiło
znaczące uspokojenie. Obecnie modele jego
nie pozują, żyją życiem własnym, a jako
materiał wzrokowy są całkowicie zobiekty-
wizowane. Kramsztyk usiłuje tu zrealizować
znane powiedzenie Cézanne'a, że „trzeba
stać się z powrotem klasycykiem przez natu-
rę” — przez nadanie swemu dziełu trwa-
łości i solidności dzieł mistrzów muzealnych,
których jedną z pierwszych i może najbar-
dziej wpadających w oko zalet jest spokój
i równowaga całości. To pewne, że Kram-
sztyk nie sili się na oryginalność, nie usi-
luje epatować widza niezwykłością swych
malarskich pomysłów. Idzie do swego celu
wsluchany w głos swego plastycznego in-
stynktu, a jedynym jego korektorem jest
smak artystyczny, wyrobiony w długoletnim
obcowaniu z malarstwem dawnych mistrzów
i współczesną sztuką francuską.

Solidność sztuki Kramsztyka a zarazem
jego pełna swady malarskiej swoboda w
traktowaniu problemów sztuki nowoczesnej
przejawia się przede wszystkim w organicz-
ności materialnej jego malowideł. Wychod-
ząc z przedmiotu nasyconego barwą, z jego
materii — sprowadza malarz ogólną kolory-
stykę obrazu do zasadniczego kamertonu,
ale nie przez dodanie jakiegoś barwnego
„sosu”, tylko za pomocą modulacji poszcze-
gólnych tonów i uzgodnienia ich wzajem-
nych stosunków na płótnie. Nie się tutaj nie
„wrywa”, nie gasi sąsiednich barw — da-
jąc mimo to powierzchnię nasyconą świa-
łem i kolorem o szlachetnym połysku ema-
lii, jak np. w mniejszej „martwej naturze”,
w *„Dzieciach chińskich”*, w kilku portretach
kobiecych itp. Kolor ów jest tu skuteczny o
tyle, o ile przedstawia jeden z elementów
budujących masę, objętość przedmiotu, czy-
li bryłę. Podobną rolę odgrywa światło na
obrazach Kramsztyka, które jednocząc for-
my w kompozycji daje wizję świata pod-
porządkowaną kierunkowi światłocienia.

W ogóle problemy malarskie poruszone
przez Kramsztyka nie są wprawdzie nowe,
ale ich ciężar gatunkowy oraz sumienność w
ich traktowaniu dają jak najlepsze wyobra-
żenie o etyce i aspiracjach malarskich jubi-
lata.

Sztuka Kramsztyka to prawdziwie męska
plastyka, jakże przy tym ludzka i naturalna.
Wnosi ona w atmosferę naszego malarstwa
pierwiastki budujące i porządkujące, jest
potwierdzeniem naszej łączności duchowej
z Zachodem, gdzie twórczość artystyczna nie
jest tylko akompaniamentem instynktu ży-
ciowego mas, ale przede wszystkim szczera
emanacja duchowych aspiracji zbiorowości.

Malarstwo drugiego jubilatą, Adama
Rychtarskiego, daje wrażenie mniej jedno-
lite. Artysta wciąż poszukuje, wciąż waha
się, balansując między konwencjonalizmem
przyjętych form a swoją podświadomą wizją
malarską. Czasami kroczy po właściwej dro-
dze, kiedy porządkując swoje wrażenia i do-
znania artystyczne, wysuwa na pierwszy
plan postulat przemyślanej budowy obrazu
za pomocą koloru. Ów kolor nadaje życie
formie i podkreśla malarską organiczność
kompozycji. Innym znów razem daje się



R. KRAMSZTYK

Akt

że się obejść bez owych bankietowych argu-
mentów itp. dziennikarskich uprzejmości.
Jubileusze są bowiem różne. Bywają i takie,
które dają niemal sposobności do porusze-
nia spraw ogólniejszej natury i kwestyj
wyższego rzędu.

Taką właśnie sposobność daje jubileuszowa
wystawa Romana Kramsztyka. W Insty-
tucie Propagandy Sztuki zgromadził artysta
pokazną ilość swych prac olejnych i kilka
rysunków pochodzących z okresu 25 lat: od
pierwszej wystawy zbiorowej jubilatą aż po
dzisiejszy. Przeważają portrety zna-
nych osób ze świata sztuki i literatury, da-
lej akty kobiece, egzotyczne typy z pary-
skich bulwarów itp. Kilka krajobrazów z
południowej Francji i dwie świetnie nama-
lowane „martwe natury” dają wystarczający
pogląd na stosunek artysty do materiału wi-
zualnego, zainspirowanego malarzowi przez
przyrodę. Piękno tych obrazów polega za-
równo na szlachetnej prostocie ich budo-
wy, jak i na oryginalności wizji i transpo-
zycji malarskiej, która mimo pozorów tra-
dycjonalizmu zapuszcza głęboko swe korze-
nie w zagadnienia plastyczne współczesnej
doby.

Bo sztuka Kramsztyka, jakkolwiek opie-
ra się o tradycję i z niej się wywodzi —
jest bezsprzecznie sztuką nowatora. Pier-
wsze lata europejskiego modernizmu cechowa-
ła, jak wiadomo, gwałtowna reakcja prze-
ciw sztuce tradycyjnej, bo w naturze każ-
dego ruchu opozycyjnego tkwi skłonność do
krańcowości, do przesady, czasami nawet
nieumiknionej mus przesady. Wkrótce jed-
nakowoż przekonano się, że nowa sztuka nie
jest tylko burzeniem tradycji, ale i czyn-
nięciem. Nowa sztuka jest także wynikiem

ZBIGNIEW BIEŃKOWSKI

MARZENIE

*W bezpieczeństwie niemożliwości
w osamotnieniu w świątyni wzniesionej sobie
ustawiasz posągi odlane z myśli o wielkości
zapalas znicze
dni wieczne nieistnieniem świtów i mroków*

*wieńcząc skronie widnokręgiem ziemi
rozbrajasz niepokój
niewieczysz ciężar konieczności przemoc bezwładu
znosisz obowiązek wędrówki światła i cieni*

*stwarzasz nowe prawa przybliżeń i oddaleń
uwolniony od zmysłów potęgą tęsknoty
cierpieniem usłyszysz piękno nieznanych pragnień
złudzeniem poznasz świat i siebie na drodze bez powrotu.*



R. KRAMSZTYK

Chińskie dzieci

unieść nastrojowości, malując płótna na-
brzmiałe jakimś niesamowitym smętkiem i
melancholią. Ciemne, matowe nieba, drze-
wa o czarnym listowiu, w portretach tła z
surowej czerni i brązu — nie nastrojają zbyt
oprymnie, ale też i nie budzą współ-
czucia. Dawniśno już o tym zapomnieli.
Wprawdzie Cézanne powiedział, że „nie
istnieje malarstwo ciemne czy jasne, a tylko
wzajemna zależność tonów” — lecz artysta
powinien to uzasadnić po malarsku a nie
po literacku.

Najbardziej przekonującymi malowi-
dłami tego utalentowanego bądź co bądź ar-
tysty są te mianowicie, w których malarz
za pomocą faktury i specyficznych rzutów
pedzła usiłuje nadać powierzchni płótna pe-
wien rytm falisty i zarchitektonizować o-
braz, podobnie jak u Van Gogha. Układ
obrazu zyskuje na zwartości a kolorystyka
na wadze i wibracji tonów, które ożywiają
i wzbogacają powierzchnię malowidła.

KONRAD WINKLER

PRZEGLĄD PRASY

Od pewnego czasu łamy pism polskich zapelnione są artykułami i głosami dyskusyjnymi na temat totalizmu. Większość tych artykułów stoi na bardzo niskim poziomie; jest bowiem rzeczą charakterystyczną dla współczesnego stanu naszej kultury, że posiadając wielu znakomych specjalistów w różnych dziedzinach humanistyki, nie mamy zupełnie wybitnych publicystów, budowniczych poglądów na świat, myślicieli ze zmysłem rzeczywistości praktycznej. Nie też dziwnego, że w mnożących się jak grzyby po deszczu pisemkach „ideologicznych”, przynoszących coraz to nowe „sposoby na Polskę”, królują rozmaici pół-analfabeci, nadrabiający braki wiedzy i odpowiedzialności hałaśliwą arogancją.

Do nielicznych publicystów, odbijających od ponurego tła współczesnych „dyskusji ideowych”, należy bez wątpienia dr Andrzej Niesiołowski. Jego artykuły o totalizmie (*Idea Państwa Bożego a totalizm*) w poznańskiej *Kulturze*, dobrze przemyślane, głęboko odczute, świetnie napisane, górują o klasę nad wszystkimi innymi głosami „sprzymierzeńców” i „przeciwników”. Wspólnym dorobkiem jednej i drugiej strony winna stać się przede wszystkim podstawowa definicja Niesiołowskiego, oczyszczająca teren pod wszelką przyszłą dyskusję. Przez totalizm — stwierdza Niesiołowski — „rozumimy prąd ideologiczny, zmierzający do uporządkowania według jednolitej zasady całej rzeczywistości politycznej, gospodarczej, społecznej, religijnej i kulturalnej przez państwo, rządzone przez monopartię, opierającą się na autorytecie wszechwładnego (*de facto*, a może i *de iure*) „Wodza”, posługującego się przymusem i mierzącego do wychowania jednolitego typu człowieka, zgodnego z wzorem, wyznaczanym przez daną ideologię...” (*Kultura*, nr 46 b. r.). Dr Niesiołowski ma przygotowane do druku obszerne dzieło na temat błędów augustianizmu, które „czeka na nakładce”. Oby jak najszybciej go znalazło.

Czy istnieje wspólny program, niepisana wspólna postawa duchowa w wystąpieniach młodego pokolenia literackiego? Czy atakując z różnych stron prądy panujące, oficjalne, tworzy ono nowy prąd artystyczny? — Tak, twierdzi Kazimierz Wyka. Szereg ogłoszonych w ostatnich tygodniach enuncjacji krytycznych świadczy, że istnieje pewna wspólnota światopoglądowa, a wyznacza ją dyrektywa naczelna: *powrót na zaniedbane stanowiska* (tyt. art. w n-rze 46 *Tygodnika Ilustrowanego*).

Przygotowanie tej tezy zawiera artykuł Wyki z poprzedniego n-ru *Tygodnika — Pochwała komunalna*. Jest to rzecz, napisana i wygłoszona w czasie pewnej dyskusji publicznej w Krakowie w r. 1933 — a więc niejako prekursorska. Autor błyskotliwie krytykuje „tenis idej” u G. B. Shawa, „destylowaną literaturę” Marinetti’ego, futurystów i w ogóle nowatorów, „humanitarne zamki na lodzie” R. Rollanda, „glazurę” pseudo-intelektualizmu Z. Nałkowskiej i głosi powrót do „banalnych” poglądów, umiaru, zdrowego rozsądku, t. zw. problematyki w literaturze. „Bo są chwile, taką chwilą jest dzisiejszy czas literacki, kiedy droga do prawdy krótsza jest i niezawodniejsza przez komunalną, aniżeli przez kuglarstwo, chociażby najbardziej nowoczesne i najbardziej wymyślne”.

I — jak to z zestawienia dwóch artykułów okazuje się — to co anno Domini 1933 było herezją — a. D. 1937 przeszedł się jako-by do wszystkich mózgów. Brzękowski, H. Michalski, Kubański, Fryde, Czernik, Łaszowski, Czechowicz... przechodzą powoli na stanowisko wyrażone w tak ganiącym (najostrzej, może zbyt ostro, na tym miejscu) pracy Wyki „Poroczenie rozważania”. Czy to jednak prawda? *Si duo dicunt idem, non est idem* — głosi przysłowie. Wyrwane zdania z większych całości myślowych w sumie nie stanowią, o niczym nie przekonują. I jakżby wniosek ostateczny Wyki? Że po realizmie nadchodzi jakiś nowy „idealizm” — mówimy „jakiś”, bo dziwnie mgliście on w artykule zarysowany. Z przykrością trzeba skonstatować: za dużo w tym wszystkim symplicyacji, grubym ścięciem sztywnej tendencji. Powierzchnowe zbieżności nie zawsze oznaczają cofanie się na dawne stanowisko. Próba Wyki określenia postawy ideowej młodego pokolenia w literaturze zasługuje na uznanie za swą śmiałość, ale nie można uznać jej za udaną.

W dziesiątą rocznicę śmierci autora *Moich współczesnych* próbuje odpowiedzieć na pytanie *Co zostało z Przybyszewskiego* Al. Rogalski w *Kulturze* (nr 47). — Antoni No-

wak zastanawia się w *Tygodniku Ilustrowanym* (nr 46) nad źródłami historycznymi *Kuźni* Piotra Chojnowskiego i odsłania jako główne źródło *Kartki z mego pamiętnika* Jordana.

Dużym echem odbiła się w prasie literackiej i codziennej śmierć dwóch przedstawicieli literatury współczesnej: znakomitego poety i świetnie zapowiadającego się powieściopisarza.

Serdeczne wspomnienie o Bolesławie Leśmianie ogłosił w *Wiadomościach Literackich* (nr 48) Julian Tuwim; interesujące uwagi o wyobraźniowym charakterze sztuki Leśmiana ogłosił w *Gazecie Polskiej* z dn. 14 b. m. Leon Pomirowski; na gorąco pisany nekrolog H. Michalskiego (*Kultura*, nr 47) zawiera takie m. in. sformułowanie: „Leśmian wyszedł z symbolizmu, który też stanowi istotny rdzeń jego poezji. Jednakże pod tym względem rola jego jest wyjątkowa, prekursorska. W twórczości jego było już osiągnięciem to, co daje się zauważyć jako cel różnych kierunków pojawiających się w ostatnich dziesięcioleciach, a mianowicie: próba nadania aktowi poetyckiemu pewnego rodzaju analogii do procesu poznawczego”. — W sposób wysoce perfidny — scharakteryzowała twórczość zmarłego *Myśl Narodowa* w n-rze 47, dobierając odpowiednio do tego celu cytaty z krytyk. — O wiele taktowniej od tygodnika „poświęconego kulturze twórczości polskiej” postąpił „tygodnik literacko-artystyczny” *Prosto do mostu*, który w ogóle nie zamieścił wiadomości o zgonie Leśmiana, uznając widocznie ten fakt za nazbyt blący „literacko-artystyczny” ewenement.

O *Zbigniewie Uniółskim* pisano dotąd na ogół krótko, ale serdecznie, ze szczerym żalem. Piękną sylwetkę autora *Dwudziestu lat życia* skreślił Ksawery Pruszyński w *Słowie* z dn. 18 listopada. Z Uniółskim — pisze tu m. in. Pruszyński — „wchodził w świat literacki pierwszy, prawdziwie silny, talent niemych dotąd warstw społecznych, podglębinowych jeszcze u nas, choć w tyłu innych krajach mówiących już dobitnie”. — Ciekawą i trafną na ogół analizę *Dwudziestu lat życia* daje w *Kurjerze Wileńskim* z dn. 16.XI Czesław Zgorzecki. Zwłaszcza trafnie zwraca uwagę na dysharmonię artystyczną tej powieści, krzyżowanie się w niej surowego realizmu ze stylizacją, wynikłą z zamiaru utrzymania powieści w perspektywie widzenia i czucia jej małoletniego bohatera.

We Lwowie zaczęło się ukazywać pismo młodzieży szkolnej, międzygimnazjalne, p. n. *Pokolenie*. Mamy przed sobą pierwszy numer tego miesięcznika z datą 1 października 1937. Jest to — sądząc z nazwisk współpracowników — nieomal pismo synów profesorów uniwersytetu lwowskiego; odznacza się odpowiednio wysokim poziomem, rzetelnością intelektualną i niezależnością. Charakterystyczny niepokój młodzieńczy, „niepokój naszego czasu” nie przechodzi tu nigdzie w historię; bakcyl „poszukiwania ideologii” nie zabił jeszcze w tych młodych ludziach zdolności przetrwania i myślenia.

Taki np. artykuł p. J. Bryla o *Rozdrożu*, polemizujący z tezami o tej książce K. Pruszyńskiego, jest całkowicie — używając potocznego zwrotu — „na poziomie” pisma „dorosłego”. Szczególnie zaś cenny, *absolutnie cenny* z literackiego punktu widzenia, jest szkic p. Lesława Kozickiego o *Treści gorącej* Tuwima. Autor — wielbiciel poety — próbuje wyzwolić się spod jego uroku, czując że ta poezja, już go całkiem nie może zaspokoić. Czar poezji autora *Treści gorącej* polega m. in. „na tej niespodzianości siebie samego, na tym, że nie ujmuje myśli swych w kategorie, ale obraca się wśród przeżyć i zdarzeń jak w zaczerpniętej sferze”. Ale to nie wystarczy.

„Nietzsche ucieka do pustelni przed rzeczywistością, która tym razem sprowadza się do epoki rozkwitu zwycięskiej burżuazji. Moderniści szukają w świecie wewnętrznym antidotum przeciw koszarnej Maji lub jak Żeromski opuszczają w obecny ręce prawie beznadziejnie. Tuwim i ludzie jego pokolenia wderają się w życie, walczą, drwią, przeczą, ale to przeczenie, które legnie się zrzęta na deskach kabaretu, rychło kapituluje. Jaki będzie nasz stosunek do świata? Może bardziej realny, może zarazem bardziej twórczy. Nie wiadomo”.

Dążenie do uczciwego rozrachunku z rzeczywistością, do niezakłamanego realizmu — oto sens *Pokolenia*. Pierwszy numer tego pisma, które przypadkowo wpadło nam w ręce, wystawia dobre świadectwo młodzieży szkolnej Lwowa.



WITOLD HULEWICZ,
LAUREAT WILEŃSKIEJ NAGRODY im. FILOMATÓW

Z ZAGRANICY

We Francji zmarł w sześćdziesiątym roku życia znany autor dramatyczny, *Francis de Croisset*. Był on z pochodzenia Belgiem i właściwie jego nazwisko brzmiałoby: Francis Wiener. Zmarły pisarz pozostawił po sobie bogaty dorobek literacki w postaci około dwudziestu sztuk, pełnych poezji i dowcipu, których „genre” przypomina zarazem Marivaux i Crébillona młodszego. Oprócz utworów scenicznych Francis de Croisset pisywał również w zaraniu swej kariery literackiej poezje, nieco później — kroniki teatralne i wreszcie barwne, interesujące wrażenia z podróży, z których największym powodzeniem cieszyła się przed kilkoma laty *Bajka syngaleska*, powstała pod wpływem podróży do Indii.

Nakładem wydawnictwa Corrèa ukazała się w Paryżu interesująca praca Roberta Goffin pt. *Żywy Rimbaud*, poprzedzona przedmową Jana Cassou. Autor książki usiłuje naświetlić twórczość Rimbauda od strony jego życia i w ten sposób udaje mu się rozwikłać wiele zawartych w dziele poety zagadek, nurtujących od dawna jego zwolenników i przeciwników. Opierając się na faktach biograficznych, zestawionych już w poprzedniej publikacji pt. *Na tropach Artura Rimbaud*, z których jednak Goffin nie wyciągnął by zrazu ogólniejszych wniosków, usiłuje on dowiedzieć obecnie, że u źródeł psychopatologii tego *poète maudit* tkwiła pewna anomalia fizjologiczna, która stała się przekleństwem całego życia Rimbauda i wycisnęła niezatarte piętno na jego twórczości.

W Sucey-en-Brie pod Paryżem zmarł wybitny historyk francuski, *Élie Halévy*, starszy brat Daniela. Był on profesorem w paryskiej Szkole Nauk Politycznych i autorem licznych i doskonałych prac historycznych, cenionych szczególnie wysoko w Anglii, gdzie Halévy był znacznie popularniejszy niż w kraju rodzinnym. Historii Anglii poświęcił też większość swych dzieł, z których najznakomitsze są: *Dzieje narodu angielskiego w XIX wieku* i *Dzieje radykalizmu*.

W paryskim Théâtre de l'Oeuvre grana jest z dużym powodzeniem nowa sztuka Jana Cocteau p. t. *Rycerze Okragłego Stołu*. Porzuciwszy tematy, związane z Grecją klasyczną, które obecnie dziedziczy po nim Giraudoux, Cocteau sięga tym razem do tematyki starych legend celtyckich — dworu króla Artusa, rycerstwa średniowiecznego, postaci czarodzieja Merlina, Galaada (Parsifala) i mitu o św. Graalu.

Nakładem Editions de la Nouvelle Revue Critique ukazała się znakomita książka Henryka Manna pt. *Zola*. Jako założenie w swojej ocenie pisarza francuskiego Mann przyjmuje zdanie samego Zoli, które cytuje w swej pracy: „Skoro jesteśmy prawdziwi — tym samym jesteśmy moralni”. Zdaniem Manna, to wyobrażenie Zoli o jego posiadaniu moralnym usprawiedliwia wszystkie brutalności jego pióra, tłumaczy jego gorącą wiarę w demokrację i wreszcie — gdy podstawy tej ostatniej zostały zachwiane przez słynną aferę Dreyfusa — wyjaśnia jego czynne przystąpienie do walki o Francję demokratyczną.

W Sannois zmarł przed kilkoma tygodniami Louis de Robert, autor słynnej w swoim czasie powieści p. t. *Roman d'un malade*, przyjaciel Prousta i Piotra Loti.

Listopadowy numer *Nouvelle Revue Française* przynosi fragmenty nowej frapującej powieści André Malraux p. t. *L'Espoir*, której tematem jest hiszpańska wojna domowa. Powieść ukaże się już wkrótce w całości nakładem wydawnictwa N. R. F. W tym samym numerze znajdujemy również głębokie studium o Mozarcie pióra Pierre Jean Jouvé'a.

Odpowiedzi Redakcji

J. H. — Nie skorzystamy.

Godło „X-27”. — Spitzer, Vinogradov i Vosler: *Z zagadnień stylistyki*. Warszawa 1936. Nakładem Koła Polonistów Uniwersytetu J. P. — Lucjusz Komarnicki: *Stylistyka*. — Manfred Kridl: *Wstęp do badań nad dziełem literackim*. Wilno 1936. Nakładem Koła Polonistów Uniwersytetu S. B. — Zborow: *Dzieje literatury pięknej w Polsce*, 2 t. Kraków 1935 i 1936. Nakładem Polskiej Akademii Umiejętności.

Godło „K 33”. — Nowela *Przygoda Piotra Walonka* — do zwrotu.

Godło „Sigma”. — Nowela odpadła przy pierwszym czytaniu. Rękopis, stosownie do życzenia, został zniszczony.

Godło „Wyznanie”. — Nowela *Jedno z przeżyć Seweryna Styckiego* została zakwalifikowana do drugiego czytania. Nowela *Niespokojne lato* odpadła. Rękopis zniszczony.

Godło „Bezdroże”. — Nowela do zwrotu.

Godło „Juliusz Adek”. — Wszystkie nowele do zwrotu.

Redakcja: Warszawa, Chmielna 33, telefon 3.04.09; czynna codziennie (w dni powszednie) od godziny 13 — 15. Rękopisów nadesłanych nie zwraca się.
Administracja: Warszawa, Chmielna 33, tel. 3.04.09; czynna codziennie od godziny 12 do 14. Prenumerata w kraju: mies. 1.80 zł., kwart. 5 zł., rocznie 18 zł., za granicą: mies. 2.50 zł., kwart. 7 zł. Ogłoszenia: za wiersz 1 mm. szerokości 1 szpalty — 60 gr. za tekstem; 80 gr. w tekście. Konto P. K. O. Nr. 18.590.

ZA REDAKCJĘ: Józef Czechowicz

WYDAWCA: Tow. Wyd. „Droga” Sp. z o. o.